

Arthur Conan Doyle

**Widmo
przeszłości**

Arthur Conan Doyle

WIDMO PRZESZŁOŚCI

Wersja demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2020

Arthur Conan Doyle
„Widmo przeszłości”

Copyright © by **Arthur Conan Doyle**, 1910
Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.** 2020

**Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.**

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

**ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.**

Skład: Adam Brychcy
Projekt okładki: Adam Brychcy
Druk: Józef Zawadzki w Wilnie
Wydawnictwo: Nakładem „Kuriera Litewskiego”
Wilno, 1910

ISBN: 978-83-8119-773-1

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706
<http://www.psychoskok.pl/>
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>
e-mail:wydawnictwo@psychoskok.pl

I.

Rodzina West z Edynburga.

Nazywam się John Fatterjeal West, jestem słuchaczem wydziału prawnego w St. Andrews i pragnąłbym w treściwej formie podać do publicznej wiadomości moje zeznania.

Nie gonię za sławą literacką, nie pragnę bynajmniej czarem mego słowa i artyzmem opowiadania rzucać jeszcze głębszego cienia na to niezwykle wydarzenie, o którym mam opowiedzieć.

Chcę przede wszystkim, aby ludzie, wiedzący coś nie coś o tej sprawie, przeczytawszy moje sprawozdanie, mogli świadomie i w dobrej wierze osądzić je, nie znajdując w mojem opowiadaniu najmniejszego nawet rozminięcia się z prawdą.

Osiągnąwszy ten cel, będę mógł spokojnie spocząć, zupełnie zadowolony z rezultatu mojej pierwszej i, prawdopodobnie, ostatniej próby na polu literackiem.

Pierwotnie chciałem jedno za drugim, w należyтым porządku, opisać wszystkie wydarzenia, opowiadając o tem, co się działo w mojej obecności i cytując wiarogodne zeznania świadków o tych wypadkach, przy których sam nie byłem obecny. Jednak, dzięki współdziałaniu moich przyjaciół, ułożyłem inny plan, wprowadzie, zyska on mniej uznania dla mnie, da jednak więcej zadowolenia czytelnikom.

Pragnę przytoczyć rozmaite rękopisy, znajdujące się w mem posiadaniu, a dotyczące tej sprawy; zaliczam do nich przede wszystkim zeznania osób, dobrze znających generała Levis'a.

A zatem, przedstawię czytelnikom zeznania Izraela Stacksa w Cloomber-Hall, oraz Johna Esterlinga, lekarza. Przyłączę do tego urywki z dziennika nieboszczyka Johna Bertier Levis'a, dotyczące wypadków, jakie miały miejsce w dolinie Thul, w jesieni 1841 roku, mniej więcej przy końcu pierwszej wojny w Afganistanie, z opisem potyczki w wąwozie Therada i śmierci Hulab Szacha.

Biorę na siebie obowiązek wypełnienia wszystkich luk i nieścisłości. Tym sposobem więc zrzekam się tytułu autora, stając się jedynie pospolitym kompilatorem. Praca moja przestaje być opowiadaniem

historyczno-kronikarskiem i zamienia się w serję zeznań naocznych świadków.

Ojciec mój, John Hunter West, był znanym uczonym, zajmującym się literaturą wschodnią, jakoteż sanskrycką; dotychczas cenią go wszyscy, którzy interesują się tym przedmiotem. On pierwszy, po Wiliamie Johnsie, zwrócił uwagę na wielkie znaczenie literatury perskiej, a jego przekłady utworów Hawiza i Ferid-Eddina Atara zyskały mu gorące pochwały barona von Hammer z Wiednia i innych znanych krytyków Kontynentu.

W styczniowym zeszycie „Przeglądu nauk wschodnich” za rok 1861, nazywają go „znakomitym i nader uczonym Westem z Edynburga”; doskonale pamiętam, jak ojciec wyciął tę wzmiankę z pisma i z łatwo zrozumiałą dumą schował wycinek pomiędzy najważniejsze dokumenta rodzinne.

Ojciec by ukończonym prawnikiem, zajęcia jednak naukowe pochłaniały go do tego stopnia, że praktyki całkowicie prawie zaniechał.

Gdy klienci zjawiali się w mieszkaniu przy Georges-Street, okazywało się zazwyczaj, że ojciec zatopiony jest całkowicie w odczytywaniu jakiegoś dokumentu, lub też zapleśniałego manuskryptu, a myśli jego zajęte są więcej kodeksem, wydanym przez Manu na sześćset lat przed Narodzeniem Chrystusa, aniżeli zawiłymi problemami prawodawstwa szkockiego z dziewiętnastego wieku. Nic więc dziwnego, że w miarę tego, jak praca naukowa mojego ojca postępowała naprzód, klienci jego rozpraszali się, tak, że w chwili, gdy dosięgnął zenitu swej sławy, pod względem materialnym, znalazł się w smutnem ze wszech miar położeniu tureckiego świętego.

W żadnym z uniwersytetów jego ojczyzny nie było katedry literatury sanskryckiej, nigdzie też nie objawiano najmniejszej podaży na jedyny w swym rodzaju towar umysłowy, jaki ojciec mój mógł społeczeństwu zaofiarować; bylibyśmy też zmuszeni zapoznać się z dotkliwą nędzą, pocieszając się aforyzmami i przepisami życia Firdusiego, Omara, Khajama i innych pisarzy — wschodnich ulubieńców ojca, gdyby nie pomoc, okazana nam przez jego dalekiego kuzyna, Wiliama lorda Brinksome z hrabstwa Wichtowne.

Lord Wiliam Brinksome posiadał wprawdzie wielkie obszary ziemi, nieurodzajne wszakże i mało skutkiem tego przynoszące dochodu;

a jednak, prowadząc nader skromny tryb życia, lord Wiliam robił nawet oszczędności.

Podczas naszego względnego dobrobytu, mało słyszeliśmy o nim; w tym samym jednak czasie, gdy nasze warunki materialne zmieniły się na gorsze, nadszedł od lorda list, dający nam dowód jego sympatji, oraz możliwość poprawienia naszego smutnego położenia. Lord pisał, że od pewnego czasu zasłabł na płuca i doktor Esterling poradził mu ostatnie lata przebyć w łagodniejszym klimacie. Skutkiem tego postanowił udać się na południe Włoch i zapraszał nas na czas swej nieobecności do zamieszkania w Brinksome, pod warunkiem, aby ojciec mój objął zarząd jego dóbr i otrzymywał za to wynagrodzenie. Pensja, którą lord mu wyznaczył, zapewniała nam tymczasem życie bez troski.

W owym czasie matka nasza od lat już paru nie żyła, rodzina zaś nasza składała się tylko ze mnie, mego ojca i siostry mojej, Estery. Oczywiście, naradzaliśmy się niedługo i wkrótce zgodziliśmy się przyjąć wspaniałomyślną propozycję lorda. Tegoż wieczoru ojciec udał się do Wichtowne; Estera zaś i ja pojechaliśmy tam w kilka dni potem, wzięwszy ze sobą dwa worki uczonych książek i te z naszych rzeczy, które opłacało się przewieźć na nową siedzibę.

II.

W Cloomber zjawia się dziwny mieszkaniec.

W porównaniu z rezydencjami innych magnatów angielskich, Brinksome mógł się wydawać dosyć ubogą siedzibą; dla nas jednak, którzy przez tak długi czas zamieszkiwaliśmy duszne i ciasne mieszkania, by on cudownym, wspaniałym pałacem.

Dom był szeroki, niski, kryty czerwoną dachówką z mnóstwem olbrzymich pokoi, o zakopconych sufitach i ścianach, wyłożonych dębową boazerją. Przed domem rozciągał się stary, zapuszczony park, z niewielkim stawem, okolonym płaczącymi brzoźami, z tyłu zaś, w niewielkiej odległości, widniała wioska Brinksome-Beer, składająca się z kilkunastu chat i po większej części zamieszkała przez rybaków. Na zachód od domu widniał żółty, piaszczysty brzeg morza Irlandzkiego, we wszystkich zaś innych kierunkach ciągnęły się, dziwnym smutkiem owiane, niziny, z początku szaro-zielone, potem coraz bledsze, wreszcie całkiem liljowe. Pustka i samotność stanowiły wybitną cechę tej okolicy. Można było przejść wiele mil, nie spotkawszy ani jednej żywej duszy i tylko czasem białe czajki przelatywały z krzykiem, jakby groźne przecucie rozdierającym pełną tajemnic ciszę wybrzeża.

Straciwszy z oczu Brinksome, nie napotykało się nawet śladu pracy ludzkiej; tylko wysoka, biała wieża Cloomber-Hall'u, nakształt pomnika, na jakimś olbrzymim grobie, górowała nad lasem, strzelając dumnie w niebiosy.

Monumentalny ów budynek, odległy mniej więcej o milę od naszej siedziby, został wzniesiony przez pewnego bogatego kupca z Glasgowu, posiadającego oryginalny gust i rozmiłowanego w samotności; w tym czasie jednak, gdyśmy przybyli do Brinksome, od wielu lat nikt go już nie zamieszkiwał. Zamek Cloomber był zupełnie pusty i niezliczone otwory jego okien patrzyły wdał, niby martwe oczy.

Ten opuszczony, zapleśniały dom służył jedynie, jako drogowskaz dla rybaków; z doświadczenia wiedzieli bowiem, że, znajdując się naprzeciw kominów Brinksomu i białej wieży Cloomber, mogli szczęśliwie ominąć

niebezpieczne rafy podwodne, często ukryte pod wysokimi falami rozszalałego morza.

Oto do jakiej więc miejscowości zmienny los zagnał mego ojca, siostrę moją i mnie. Samotność nie przstraszała nas. Po gorączkowym ruchu i gwarze wielkiego miasta, po wyczerpujących wysiłkach, by żyć przyzwoicie z niewielkiego dochodu, odetchnęliśmy swobodnie pośród jasności szerokiego horyzontu, napawając się świeżym, ożywczym powietrzem. Tutaj przynajmniej byliśmy wolni od ciekawych sąsiadów, którzy nas podpatrywali i obmawiali.

Lord oddał nam do rozporządzenia swój powóz i parę koni; tak więc ojciec mój i ja mogliśmy bez trudu objeżdżać majątek, sprawując niezbyt zresztą uciążliwe obowiązki zarządzającego; mała Estera prowadziła gospodarstwo, obecnością swą rozjaśniając stary, ciemny gmach.

Życie nasze płynęło spokojnie i cicho, aż do chwili, gdy pewnej letniej nocy zaszedł nieoczekiwany, drobny na pozór, wypadek, który później wszakże okazał się zwiastunem dalszych, dziwnych, przerażających wydarzeń.

Wiezorami wypływałem za zwyczaj na morze, aby złowić nieco ryb na kolację. Owego pamiętnego wieczoru siostra moja udała się ze mną; zasiadała z książką na przedzie łódki, ja zaś, pilnując równocześnie steru, zapuściłem wędkę.

Słońce zaszło za brzeg irlandzki, horyzont, pokryty białymi obłokami, gorzał jeszcze ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. Ocean zabarwił się czerwonym blaskiem. Stałem, zapatrzony w dal i z zachwytem przyglądałem się imponującemu widokowi nieba i morza. Nagle siostra schwyciła mnie za rękę i z okrzykiem zdumienia wyrzekła:

— Spójrz, Johnie, w Cloomber ukazało się światło!

Odwróciłem głowę i spojrzałem na wznoszącą się ponad drzewami białą wieżę. Przyjrzawszy się dobrze, dostrzegłem istotnie wyraźne, chociaż blade światło w jednym z okien opuszczonego zamku. Nagle światło znikło, lecz zjawilo się zaraz w innym, wyższym oknie. Świeciło tam czas jakiś, poczem mignęło w oknach dolnego piętra, wreszcie drzewa zasłoniły je przed naszymi oczyma. Widocznem było, że ktoś, niosący lampę, lub świecę, wszedł na górę, a następnie powrócił na dół.

— Kto tam może chodzić? — zauważyłem, zwracając pytanie raczej ku sobie, niż do Estery, gdyż zdziwienie, malujące się na jej twarzy, mówiło mi, że na to pytanie nie mógłbym od niej otrzymać odpowiedzi. — Może komu z Brinksome przyszło do głowy obejrzeć pustą wieżę?

Siostra moja nie zgadzała się ze mną.

— Nikt nie zdecyduje się przekroczyć bramy parku, — rzekła, — a przytem, klucze przechowywane są u zarządzającego w Wichtowne. Tak więc nikt nie zdołałby dostać się do Cloomber.

Pomyślawszy o ciężkiej, masywnej bramie, broniącej wstępu do Cloomber-Hallu, musiałem siostrze przyznać słuszność. Oczywiście, ten, co o tej porze dostał się do opuszczonego domu, albo otrzymał klucze, albo też wszedł tam podstępem.

Ta mała tajemnica zaintrygowała mię nad wszelki wyraz; dopływając do brzegu, postanowiłem samemu zbadać, kto, i z jakimi zamiarami zdecydował się przekroczyć próg pustego domu. Zostawiwszy więc Esterę w domu, wezwałem Jamsona, byłego majtka wojennego statku, a obecnie jednego z najlepszych rybaków i udałem się do Cloomber. Słońce zatoneło już w morzu i coraz głębszy mrok zalegał ziemię, aż w reszcie ogarnęły nas nieprzeniknione ciemności.

— Nie dobrze jest po nocy chodzić do tego domu, — zauważył mój towarzysz i zaczął iść zwolna, niechętnie; — nie bez przyczyny zamek stoi pusty, a nawet sam właściciel nigdy nie podchodzi tu bliżej, jak na odległość mili.

— A jednak, mimo to, ktoś nie zawahał się wejść tam, — rzekłem, wskazując ręką na wielki budynek, bielejący przed nami.

Światło, które widziałem z morza, poruszało się jeszcze, migając przez okna dolnego piętra; łatwo je było dostrzedz, okiennice bowiem były otwarte. Teraz zauważyłem, że drugie, słabsze światełko poruszało się o kilka kroków za pierwszym. Widocznie było tu dwóch ludzi, jeden z lampą, drugi ze świecą.

— A niech tam, — rzekł Jamson, zatrzymując się nagle. — Co nam do tego, jeżeli złe duchy lub też inne twory nieczyste zamyśliły odwiedzić Cloomber. Niedobrze jest wtrącać się w takie sprawy.

— Ależ, — zawołałem, — czyż sądzicie, że złe duchy przyjeżdżałyby w powozie? Popatrz no, cóż to za dwa światełka widać tam u wrót parku?

— A prawda, przecież to latarnie powozowe, — zauważył mój towarzysz, raźniejszym już głosem. — Chodźmy, mr. West, zobaczmy, co się tam dzieje.

Było już zupełnie ciemno; na zachodzie jedynie widoczna była blada jasność, zaledwie odbijająca się od ciemnego nieba. Potykając się na nierównym gruncie, doszliśmy do kamiennych słupów, stojących przy wjeździe do alei. Przy bramie stał wysoki kocz; koń skubał trawę, rosnącą na brzegu drogi.

— Ależ ja go doskonale znam — zawołał Jamson, — obejrzawszy pusty ekwipaż. — To powóz mr. Mac-Neyle'a, rządcy z Wichtowne, tego samego, który ma klucze od zamku.

— Kiedyśmy tu przyszli, możemy z nim pomówić, — odpowiedziałem. — O ile się nie mylę, schodzą właśnie na dół.

W tej chwili usłyszeliśmy skrzypnięcie ciężkich drzwi, a w jakiś czas potem zjawily się dwie postacie, jedna wysoka, chuda i koścista, druga zaś mała i gruba; zbliżały się one do nas w ciemności. Ludzie ci rozmawiali z takim ożywieniem, iż spostrzegli nas dopiero, znalazłszy się za bramą.

— Dobry wieczór mr. Mac-Neyle, — rzekłem zwracając się do rządcy, którego znałem z widzenia.

Mały człowieczek zwrócił się ku mnie, co było dowodem, iż nie pomyliłem się w adresie; wysoki towarzysz odskoczył w tył z oznakami silnego wzburzenia.

— Co to jest, Mac-Neyle, — zawołał głosem drżącym i przerywanym. — Tak to pan spełniasz swoje obietnice? Co to ma znaczyć?

— Nie przestraszaj się pan, generale, nie przestraszaj, — rzekł mały, gruby rządcą, tym uspakajającym tonem, jakim się przemawia do przestraszonych dzieci. — To młody mr. Fetterjeal West z Brinksome, jakkolwiek w żaden sposób nie mogę zrozumieć, co go skłoniło przyjść tutaj i to o tej porze. Ale, że będziecie panowie sąsiadami, korzystam ze sposobności, aby panów ze sobą zapoznać. Mr. West, — oto generał Levis, który zamierza wynająć Cloomber-Hall.

Wyciągnąłem rękę do wysokiego człowieka, który podał mi swoją niezdeterminowaną i jakby bez chęci.

— Przyszedłem tu, — odezwałem się, — dojrzałem bowiem z morza światło w oknach i wyobraziłem sobie, że zaszedł tutaj jakiś wypadek.

Bardzo się cieszę, że postąpiłem tak, gdyż dało mi to sposobność poznania się z generałem.

Mówiąc to, zauważyłem, że nowy mieszkaniec Cloomber'u przyglądał mi się w ciemnościach nader uważnie. Gdy zamilkłem, generał wyciągnął swą długą, drżącą rękę i zwrócił w moją stronę latarnię powozową. Nagle potok jasnego światła padł prosto na moją twarz.

— Wielki Boże, Mac-Neyle, — zawołał tym samym drżącym głosem, — ten młody człowiek twarz ma ciemną, jakby z czekolady. On nie jest anglikiem, sir?

— Z urodzenia i wychowania jestem szkotem, — odpowiedziałem, powstrzymując się ze wszystkich sił od śmiechu.

— Szkot? aha, — rzekł generał z westchnieniem ulgi.

— W obecnych czasach, to wszystko jedno. Wybacz pan, mr.... mr. West. Jestem nerwowy, szalenie nerwowy. Jedźmy, Mac-Neyle. Powinniśmy być w Wichtowne nie później jak za godzinę. Do miłego widzenia, dobranoc.

Siedli w kocz; gruby rządca trzasnął z bicia i wysoki ekwipaż zaturkotał w ciemności, rozlewając jasny blask żółtych promieni po obu stronach drogi, aż w końcu wszystko w oddali umilkło.

— Co powiecie o naszym nowym sąsiedzie, Jamson? — zapytałem swego towarzysza, przerywając długie milczenie.

— Zdaje mi się, mr. West, że jest on rzeczywiście niezwykle nerwowy, a może jego sumienie niezupełnie jest wporządku.

— Raczej wątroba, — zauważyłem. — To widoczne, że organizm jego jest rozstrojony. Ale robi się zimno, Jamson, obu nam czas do domu.

Pożegnałem się z rybakiem i poszedłem w stronę wesołego i jasnego światła, bijącego z okien naszej bawialni w Brinksome.

III.

Jak zaznajomiłem się bliżej z generał - majorem Levisem.

Łatwo sobie wyobrazić, do jakiego stopnia niespodziewana wiadomość o wynajęciu i zamieszkaniu Cloomber-Hall'u poruszyła ciekawość bliższej i dalszej okolicy; przez długi czas krążyły najcudaczniejsze wieści o nowym mieszkańcu i o przyczynach, dla których wybrał on na stały pobyt właśnie tę samotną i posępną część hrabstwa.

Wkrótce jasnym było dla wszystkich, że generał i jego rodzina zamieszkali w Cloomber-Hall na czas dłuższy; dom gruntownie restaurowano z wielkim nakładem, a gdy roboty ukończono, niktby nie poznał dawnego ciemnego i ponurego budynku. Wyglądał, jak nowy.

Kto wie, może generał poświęca się nauce, — rzekł do mnie ojciec, gdyśmy pewnego razu rozmawiali o Levis'ie, — może wybrał to ustronie, by mózdz pracować w ciszy i spokoju?

— Być może, że ojciec ma słuszność — odpowiedziałem, — ale podczas naszego pierwszego spotkania wydało mi się, że generał nie wygląda na człowieka, posiadającego zamiłowanie do literatury, a tem bardziej do nauk specjalnych. Sądziłbym raczej, że przyjechał tu dla zupełnego wypoczynku, aby leczyć się na nerwy. Jest niesłuchanie rozstrojony; stan jego zdrowia, nawet przy tak krótkim spotkaniu, dał mi wiele do myślenia.

— Czy ma żonę i dzieci? — zapytała Estera. — Biedni, jak oni będą tu osamotnieni. Oprócz nas przecież na siedem mil dokoła niema ani jednej rodziny, z którąby mogli zawiązać bliższą znajomość.

— Generał Levis, to dzielny i zasłużony żołnierz, — zauważył mój ojciec.

— Czy wiesz co o nim, ojczy? — zawołaliśmy równocześnie.

— Ach, moi drodzy, dużo się w życiu słyszało, — odparł ojciec z uśmiechem, biorąc z półki książkę i otwierając ją przed nami. — Oto spis oficerów armji indyjskiej, wydany przed trzema laty, a tu nazwisko tego pana, o którym mówimy. „Levis D. B., kawaler orderu, były

pułkownik 41-go Bengalskiego pułku piechoty, przeszedł w stan spoczynku w randze generał-majora. Oblężenie Ghusni, obrona Dżelalabadu, 1848 r.; powstanie w Indjach i uśmierzenie Ouda. Pięć razy wspomniany w raportach". Zdaje mi się, moi drodzy, iż możemy być dumni z naszego nowego sąsiada.

W dniu, w którym ukończone zostało odnowienie domu, wypadło mi pojechać do Wichtowne; po drodze spotkałem powóz, w którym jechał generał Levis i jego rodzina. Obok niego siedziała starsza już kobieta, o twarzy zmęczonej i schorowanej, przednie siedzenie zajmował młody człowiek, mniej więcej w moim wieku, oraz panienka, o dwa lub trzy lata młodsza od niego. Uchyliłem czapki i chciałem przejechać, nie zatrzymując się, generał wszakże kazał woźnicy przystanąć i wyciągnął do mnie rękę.

— Jak się pan ma, mr. Fatterjeal West, — zawołał.

— Muszę przeprosić pana za to, że byłem te go wieczoru nieco za ostry. Pan z pewnością wybaczy staremu żołnierzowi, który lepszą część życia spędził na wojnie. Tem nie mniej przyzna pan, że jak na szkota, jest pan nieco za ciemny.

— Mamy w sobie krew hiszpańską, — odparłem niemało zdziwiony, że generał powraca znowuż do tego przedmiotu.

— Ach, to zupełnie wyjaśnia ciemną barwę pańskiej twarzy, — rzekł uspokojony, a zwracając się do żony, dodał. — Pozwól, droga żono, przedstawić sobie mr. Fallerjealla West. A oto mój syn i moja córka. Przyjechaliśmy tutaj odzyskać spokój, zupełny spokój.

— Istotnie, nie mógł pan znaleźć na ten cel lepszego miejsca, — zauważyłem.

— Doprawdy? — zapytał generał.

— Mnie również wydaje się ta okolica nader spokojną i cichą. Sądzę, że można tu wędrować całą noc i nie spotkać żywej duszy. Jak pan sądzi?

— O tak, po zachodzie słońca niełatwo tu kogoś spotkać, — odpowiedziałem.

— I nie niepokoją państwa żadne włóczęgi? Niema tu koczujących cyganów?

— Zaczyna być zimno, — przerwała tę rozmowę mistress Levis, otulając się ciepłą rotundą, a przytem zatrzymujemy mr. Westa.

— Tak, tak, masz słuszość, moja droga. Jedziemy. Do widzenia, mr. West.

Powóz potoczył się w stronę Cloomber, ja zaś zamyślony podążyłem do Wichtowne.

Wjeżdżałem właśnie w ulicę Wysoką, gdy Mac-Neyle wybiegł ze swego kantoru i poprosił, abym się zatrzymał.

— Pańscy nowi sąsiedzi wyjechali już stąd, — rzekł. — Dziś rano udali się do Cloomber-Hall.

— Spotkałem ich przed chwilą, — odpowiedziałem.

— Lubię mieć do czynienia z prawdziwymi gentlemanami, — rzekł śmiejąc się Mac-Neyle. — Oni mnie rozumieją, ja również ich pojmuję. — „Jaką cyfrą mam go wypełnić?” zapytał mnie generał, wyjąwszy pusty czek z kieszeni i kładąc go na stole. — „Liczbą dwustu funtów”, odparłem, pragnąc, aby i mnie dostało się coś za stratę czasu i fatygę. Generał napisał czek i rzucił mi go, jak gdyby była to stara, niepotrzebna koperta. No, i co pan powie o generale, mr. West?

— Zbyt mało go znam, by wyrobić sobie o nim zdanie.

Mac-Neyle postukał znacząco w czoło.

— Oto, co ja o nim myślę, — rzekł tajemniczym głosem. — On jest niespełna rozumu, jestem tego pewien. — A jak pan sądzi, mr. West, jakiby można przytoczyć na to dowód?

— No, naturalnie, zamiar zaofiarowania niewypełnionego czeku administratorowi zamku.

— Pan sobie żartuje. Ale mówiąc tak między nami, przyznaj pan, że jeśli ktoś wypytuje, jak daleko jest z Cloomber do najbliższego fortu, czy przybijają tam okręty ze Wschodu, czy dużo jest włóczęgów w okolicy i czy można wybudować wysoką ścianę z desek dokoła parku, to trudno powziąć o nim inne zdanie.

Nie mając chęci dłużej z nim rozmawiać, pożegnałem się i pojechałem dalej.

Wkrótce przekonaliśmy się, że co do zamiaru generała odgródzenia się od całego świata, Mac-Neyle był dobrze powiadomiony: całe oddziały robotników od rana do wieczora wznosiły wysoką drewnianą ścianę dokoła siedziby generała.

A co dziwniejsze jeszcze, gromadził on w swoim domu olbrzymie zapasy żywności, jakby spodziewał się oblężenia; Bichbey, właściciel

największego sklepu kolonialnego, zdumiony i zachwycony, opowiadał mi, że generał zamówił u niego kilkaset tuzinów najrozmaitszych konserwów z mięsa i jarzyn.

Wszystko to wywoływało tysiące rozmaitych zdań i plotek, od których wrzała cała okolica; generał zaś i jego rodzina prowadzili ciche i samotne życie, zupełnie nie oglądając się na to, cokolwiekby mógł ktoś o nich powiedzieć.

Pewnego dnia mój ojciec wszedł do pokoju jadalnego i rzekł do nas tonem zdecydowanym:

— Włóż swą różową suknię, Estero, a i ty John ubierz się w wizytowe ubranie. Pojedziemy odwiedzić mistress Levis i generała.

— Pojedziemy do Cloomber? — zapytała Estera, klaszcząc w dłonie.

— Jestem, — z godnością powiedział mój ojciec, — nie tylko zarządzającym majątkiem lorda, ale również jego krewnym. Sądzę, że postąpię w jego myśl, składając wizytę nowym mieszkańcom Cloomber'u i ofiarowując im swoje usługi. Muszą się czuć osamotnieni i pozbawieni przyjaciół.

Wkrótce zajechał powóz i ruszyliśmy ku Cloomber; jakież jednak było nasze zdziwienie, gdy dojechawszy do bramy Cloomber-Hall, ujrzelśmy na najwidoczniejszym miejscu wysoko zawieszoną deskę z następującym napisem:

„Generał i mistress Levis nie pragną powiększać grona swych znajomych”.

Kilka chwil siedzieliśmy w milczeniu, ze zdumieniem przypatrując się oryginalnemu napisowi. Wreszcie Estera i ja wybuchnęliśmy niepowstrzymanym śmiechem; ojciec jednak zacisnął usta, co było u niego niezawodną oznaką złego humoru i gwałtownie zawrócił ku domowi. Byłem pewny, że dręczyła go myśl, iż w jego osobie wyrządzono zniewagę lordowi Brinksome, którego był przedstawicielem.

*Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa
i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.*

Wydawnictwo Psychoskok

